

Płomyczek

k 27 Nr 17

Pismo dla młodszych dzieci

1. V. 1949 r.



Fot. T. Burowski

Wystawa prac dzieci urządzona w szkole z okazji święta 1 maja budzi zachwyt młodych widzów

Cena 15 z



NAPRZÓD

Płyną szeroko sztandary
w wielkim radosnym pochodzie.
Krok dudni śmiało, zdobywczco,
gdy idzie czwórkami młodzież.

A słońce w majowym darze
pod nogi blaski nam ściele.
Idziemy z uśmiechem naprzód,
niech rośnie nasz bratni szereg.

Niech leci szerokim światem
głos śmiałych, młodzieńczych
kroków.
Idziemy w jaśniejszą przyszłość
po radość, szczęście i pokój.

St. Aleksandrak

TOWARZYSZE

Jasno świeci wiosenne słońce.
Ludzie świątecznie ubrani zebrali
się na placu przed gminą. Dzisiaj
wielkie święto wszystkich ludzi pra-
cy na całym świecie. Wszyscy są po-
godni i weseli. Tylko Andrzej Brzo-
za, starszy traktorzysta, stoi na ubo-
czu jakiś zafrasowany. Licho nadało!
Akurat wczoraj — właśnie nie kiedy
indziej tylko wczoraj, w przeddzień
święta — musiały popsuć się dwa
traktory! I żeby to jeszcze jeden, ale
dwa!

— Licho nadało... — mruczy
Andrzej do siebie i spogląda roz-
żalonym wzrokiem na zamknięte
wrota szopy.

Te dwa traktory popsuley Andrze-
jowi całe święto. A tak już wszystko
sobie umyślił:

Zbiorą się ludzie przed gminą, za-
śpiewają pieśni, a wtedy on Andrzej
i traktorzyści: Jan, Stanisław, Bro-
nek i Antoni zahuczą do wtóru swo-
imi maszynami. Wyprowadzą całą
piątkę z szopy przystrojoną pięknie
chorągiewkami, przedefilują przez
wieś. Zatoczą potem łuk od rzeczki
i przy stukocie pięciu żelaznych
smoków złożą gromadzie meldunek:
Orka zakończona, wywózka drzewa
z lasu zakończona. Praca wykonana
w terminie!

Oj, pięknie byłoby, pięknie... A tu
masz... Pracę co prawda i tak wyko-
nali. Dokończyli wywózki wczoraj
tymi trzema, ale jak meldować bez
całej piątki? Markotno starszemu
traktorzyście Brzozie. A tu już i
pieśń się kończy, już i ludzie rozcho-
dzą się do domów; skończona pier-
wsza część obchodu. Zejdą się jeszcze
pod wieczór na akademię, którą
urządza szkoła.

— Może by jeszcze do wieczora zrobić co z tymi traktorami? Może by choć na wieczór je wyprowadzić? — myśli Andrzej i myśl ta nie daje mu spokoju.

W milczeniu zabierają się raz jeszcze do oglądania zepsutych maszyn. Próbuja zapalić silniki. Nic. Wreszcie zasmucony Stanisław szepce:

— Bez majstrów nie damy rady!

— A no, nie damy — powtarzają inni. Siadają z opuszczonymi rękami.

— Akurat w święto! — zagryza aż do krwi wargi Bronek.

Już mają wychodzić bezradni z szopy, gdy wtem... co to? Jakiś samochód zatrzymuje się przed wrotami.

— Hej, tam, towarzysze traktorzyści, jesteście? — rozlegają się wesole głosy. — Co tak siedzicie przy święcie jak borsuki w norze?

Pojaśniały twarze traktorzystów. Toż to przyjechali dobrzy znajomi, robotnicy fabryki „Ursus“!

— Bywajcie, bywajcie! Dobrych gości sprowadziła nam pogoda!

— Pogoda jak złoto, a wy w szopie. Czy słońca się boicie?

Rozradowani gośćmi traktorzyści znowu się zasępiли.

— Słońca się nie boimy, ale... — i Andrzej opowiada przybyłym powód zmartwienia.

Jeszcze nie skończył, a już gromada robotników zrzuciła świąteczne marynarki.

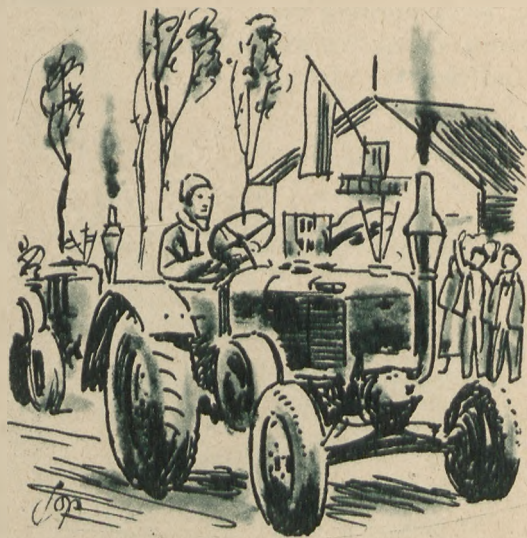
— Felek, podrzuć mi młotek!

— Obcęgi jakieś macie? Dawajcie!

— My te traktory znamy jak pięć palców. Przecież my je sami robimy.

Głowy do góry, chłopcy! Zameldujecie się wieczorem gromadzie na całej piątce. Słowo „Ursusa“!

Znowu zbierają się ludzie. Tym razem na placu przed szkołą. Po pogodnym dniu jest ciepły wieczór i akademię postanowiono urządzić na świeżym powietrzu. Dzieci śpiewają. Mały Adamek deklamuje wiersz... Deklamuje... a tu jak nie zaterkoczą od gminy traktory! Jedzie cała piątka. Jedzie rozradowany Andrzej Brzoza, jedzie Jan, Stanisław, Bronek i Antoni, a za nimi przybrana zielenią ciężarówka. Wjechali aż na dziedziniec. Zatrzymali się równo, jakby ktoś sznurkiem pociągnął.



Zeskakują traktorzyści z maszyn, zeskakują robotnicy z ciężarówki. Andrzej Brzoza składa gromadzie pierwszomajowy meldunek. Składa go tak, jak sobie zamyślił. Z fasonem. A potem podchodzi do Ursusiaków. Ścisza ich mocno, serdecznie i mówi tylko jedno, jedno słowo:

— Towarzysze!

Z. Zatorski

RZKA PRZODOWNICA

Przez Morawską Bramę,
otworzoną w skale,
toczy bystra Odra
swe srebrzyste fale.

Śród cienistych borów,
po zielonych łęgach
rozwija się, błękitnieje
jak szumiąca wstęga.

Przez piastowską ziemię,
przez Śląsk żyzny płynie,
niesie, niesie ciężkie łodzie
do portu w Szczecinie.

Niesie śląski węgiel
na swej modrej fali,
szumi cicho, śpiewa cicho,
piosenką się chwali:



— Jestem rzeka-przodownica,
pracowita, hoża,
płynę hen, przez polską ziemię
do polskiego morza.
Choć mi nieraz ciężko, trudno,
nie skarżę się wcale,
bo wiem, że ojczyźnie własnej
służą moje fale.
Więc weselę się przy pracy,
jako inni w tańcu,
bom ja rzeka-przodownica
w wiklinowym wieńcu.

Płynie Odra, szumi Odra,
swą piosenkę śpiewa.
Noc zapada... Jasny księżyc
wyplłynął zza drzewa
i wzruszony, uroczysty,
ciemne rzeki fale
dekoruje wielkim, złotym,
błyszczącym medalem.

Wiera Badalska

NASZA STOLICA

Rosną domy, wznoszą się mury,
kielnia o cegłę pieśni wydzwania,
dźwiga się prędko stolica w górę,
stają fabryki, biura, mieszkania...

Na nowych ścianach wino zielone
pnie się do góry jak wielki pożar.
Czy też dorośnie, czy też dogoni
ręce montera, szklarza, blacharza?...

Nową ulicą tramwaje jadą.
Ulica biegnie przez gruzy prosto.
Tramwaje wiozą ludzi i radość,
a wzdłuż ulicy domy wciąż rosną.

Mosty i okna, place, ulice
budują młoty, kielnie, oskardy.
Nimi rozbrzmiewa nasza stolica,
niby pieśń pracy piękna i twarda.

Co dzień szczęśliwsza, zapracowana
w słońca promieniach, w blaskach
księżycy,
coraz jest większe każdego ranka
to serce Polski — nasza stolica.

Witold Michalski

LIST

Ja ci, Kochany „Płomyczku“, chciałem napisać o moim tatuśku i o sobie. Ja mam lat 10 i chodzę do czwartej klasy. Jest nas w domu jeszcze czworo i mamusia. Tatuś jest inwalidą, kuleje na nogę, bo szrapnel go zranił w czasie wojny i noga źle się zgoiła. Tatuś był w Berlinie, wiesz? Był także na Kaukazie i w Nowosybirsku i w wielu miejscowościach Związku Radzieckiego. A jak zaczęli tworzyć Polskie Wojsko Kościuszkowskie, to zaraz tam pojechał do miasteczka Sielce i już został w wojsku. A potem szedł razem ze wszystkimi na Berlin. To wszystko tatuś opowiada nam wieczorami każdej zimy i my słuchamy, bo to jest bardzo ciekawe.

A może jesteś ciekawy, jak to było z tatuśkiem na wojnie? Ich było dwu

przyjaciół, tatuś i jeden Kola, to znaczy Mikołaj, Białorusin. Oni bardzo się kochali, bo ten Kola uratował tatuśkowi życie pod Lenino i już potem razem byli w wojsku, choć nie w tej samej kompanii.

Ale ile razy tylko się spotkali, to krzyczeli do siebie pozdrowieniem.

— Żyjesz, Kola? — wołał tatuś.

— Wiadomo — na to Kola — najpierw muszę być w Berlinie, a potem mogę zginąć.

Kola śmiał się i mówił, że nie może inaczej być, bo do Berlina prowadzi droga przez Warszawę, innej dla niego nie ma.

Zdobywali więc razem Warszawę. I kiedy już tam byli, to Kola spotkał tatuśka na ulicy, na Krakowskim Przedmieściu i powiedział:

— Nic się nie martw, towarzyszu! Odbudujesz Warszawę jeszcze piękniejszą. Nasz Stalingrad taki sam, a zobaczysz, że także wstanie z gruzów.

I tatuś mówi, że to prawda. Bo Warszawa już odbudowana i Stalingrad też. Tylko Koli już nie ma. Nie dojechał do Berlina.

Nie wiem, jak to się stało, że spotkali się znowu na Pomorzu. Zdobywali wał pomorski.

Tam było bardzo ciężko i całe miasta były w ogniu. Na ulicy jednego miasta tatuś najechał ze swoim czołgiem na rozbity czołg niemiecki i właśnie tam spotkał Kolę. Był ranny, wiesz? Granat oderwał mu nogę. Zaraz wzięli go do naszego czołgu i powieźli na punkt opatrunkowy. Ale za dużo krwi już spłynęło i sanitariusze bali się, że nie wytrzyma. A potem walki się skończyły w tej części miasta i tatuś mógł wrócić do Koli. Jeszcze żył, ale był bardzo słaby. Powiedział:

— Alosza (tak po rosyjsku nazywa się Aleksander) jedź do Berlina za mnie i za siebie. A jak zatkniesz

chorągiew, nie zapomnij, że mieliśmy to robić razem.

Jak tatuś to opowiada, to zawsze ma łzy w oczach. Kola umarł i tatuś pochował go w jakimś ogrodzie w Kołobrzegu. A sam pojechał ze swoją kompanią dalej. To były bardzo ciężkie walki. Wiesz, „Płomyczku“, wszędzie pełno było zasadzek i niebezpieczeństw, ale nasi i tak zwyciężali. Tatuś opowiada, że jak w Berlinie zawisły zwycięskie flagi, to taka go żałość chwyciła, że nie mógł sobie dać rady. Bo pomyśl, mieli być razem, a nie byli.

Tatuś to wszystko opowiada zimowymi wieczorami, a my słuchamy i czegoś nam smutno. Staszek, mój brat starszy, chciałby być także żołnierzem. A tatuś mówi, że wojen już nigdy nie powinno być, bo giną na nich ludzie najlepsi, tacy, którzy mogliby budować lepsze, sprawiedliwsze życie. Ale jak się raz zapytałem tatusia, czy poszedłby jeszcze raz na wojnę, to powiedział, że każdy człowiek musi umieć budować pokój, ale także powinien go umieć bronić.

TRZY CÓRY MATKI TIMURY

(według bajki tatarskiej)

Żyła, była raz wdowa Timura, a w domu wdowy Timury rosły trzy dorodne córki, świeże jak róże pączki!

Pracowały na córki te matczyne rączki. Pracowały... pracowały... nic się nie oszczędzały... Pracowały od świtu aż po nockę ciemną, a praca

rąk matczynych nie szła na daremno.

Wyrastały córeczki — bystrzejsze od jaskółeczki, wysmuklejsze od dziewanny, różowsze od zorzy rannej, bielsze od blasku księżyca — kto je tylko zobaczył, ten się nimi zachwycił.



Powiadali ludzie:

— Hej, ta wdowa, ani słowa, nikt tak dzieci nie wychował!

Ale ta matka Timura nie tylko o swoich córach umiała pamiętać — troszczyła się ona o ludzi, troszczyła o zwierzęta...

Ktoregoś rana na wiosnę ścięto potężną sosnę z gniazdem wiewiórki rudej. Jedno wiewiórcze dziecko ocalało cudem... Kiedy się Timura dowiedziała o tym, zawołała:

— Wychowam wiewiórczą sierotę!

Dobra matka Timura poniosła prawdziwy trud, lecz z golutkiej pokraczki wyrosła wiewiórka-cud!... Pozłocista, puszysta, lśniąca jak skórka kasztana, a kity takiej nie znalazł na kołpaku u chana!...

I dochowała się wdowa z tej pozłocistej wiewiórki, kochanej i kochającej, tak jakby czwartej córki.

Hej, toczy modra rzeka z gór stromych bystrą wodę, jaśnieją cudną krasą trzy śliczne panny młode!

Wyprawiła wdowa weseliska córkom, a sama została w chałupie z wiewiórką... Wyleciały trzy dziew-

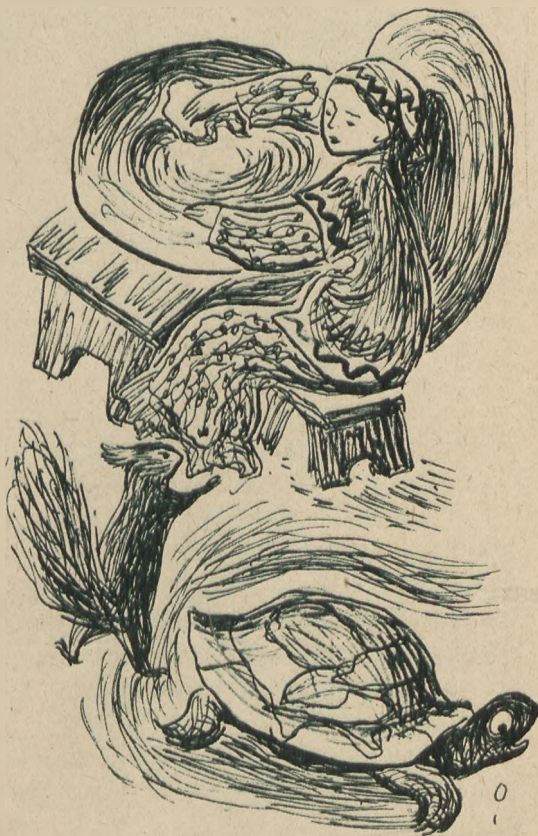
częta od matki — każda do własnej chatki.

Najstarsza Fatima mieszka za bo-rem, gdzie wilki wyją wieczorem, średnia, Tamara za polem, gdzie krzew tarniny kole, a najmłodsza, Sulejka — za łąką, gdzie białych brzoźek alejka i najjaśniej świeci słońko...

Potoczyło się życie, potoczyły się latka, aż któregoś dnia nad ranem zachorowała matka... Więc powiada do wiewiórki:

— Leć, sprowadź tu moje córki! Powiedz, żem zasłaбла w nocy i potrzebuję pomocy!

Leci, pędzi wiewiórka, tylko jej ogon furka, pędzi co siły przez las, żeby zdążyć na czas...





Przybiegła do najstarszej córki i woła:

— Hej, Fatima! Fatima!

Matka chora, żartów nie ma!

Zasłabła bardzo w nocy,

śpiesz jej, śpiesz do pomocy!

Ale Fatima wzruszyła ramionami i zawołała:

— Nie rób zgiełku i hałasu, nie widzisz, że nie mam czasu?!... Widzisz przecież, że mam pracę, na jutro gości sprosiłam, muszę wyczyścić dwie mosiężne tace, mają się świecić jak złoto, trzeba pośpieszać z robotą!...

A nasza wiewiórka, jak ogonem zafurka... Jak skoczy, zatupie, zaprycha!

— Czeka! Czeka! córko licha!

Pierwsze ci tace, niż matka?!...
Będziesz je nosić na sobie na zawsze, do ostatka!
Jedną na piersi, drugą na grzbiecie

i zółwiem będziesz żyła na świecie!
Hops! hops! hops! Fur! fur! fur!
Już zółwiem najstarsza z cór!...

Opuścił chatę zółw w dwóch ciężkich pancerzach i powędrował światem, a wiewiórka przez pola do Tarmy, średniej córki, zmierza...

Leci, pędzi wiewiórka, tylko jej ogon furka. Stała w progu chaty słupkiem i woła:

— Tamaro! Tamaro!

Pędź ratować matkę starą.

Zasłabła bardzo w nocy, śpiesz jej, śpiesz do pomocy!

Lecę tu po ciebie pędem!...

— Moja droga wiewiórko, czy nie widzisz, że przędę? Muszę utkać, wyszyć wzorek, bo gości czekam we wtorek...

A nasza wiewiórka, jak ogonem zafurka, jak skoczy, zatupie, zaprycha!





— Czeka! Czeka, córko licha!
Pierwsze ci stroje — niż
matka?
Będiesz już teraz przędła na
zawsze, do ostatka!
Już do końca świata będziesz
rozwieszała swoje przędze!...
Hopsa! hopsa!... Fąka-pąka!...
Szast!... zamieniam cię
w pajaka!...

Opuścił pajak chatę i powędrował
światem rozwieszać zdradzieckie sie-
ci, a ta wiewiórka ruda, sprawiwszy
takie cuda, do trzeciej córki leci...
Puściła się jak strzała przez brzo-
zową alejkę wezwać najmłodszą córkę,
cudnolicą Sulejkę. Stała w progu
słupkiem i woła:

— Sulejko, córko najmłodsza,
matkę ratować potra:
zaszła bardzo w nocy,
śpiesz jej, śpiesz...

Ale wiewiórka nie dokończyła
słowa, kiedy Sulejka krzyknęła:

— Biegnę matkę ratować!

Wyciągnęła ręce z dzieży, w któ-
rej ciasto miesiła na chleb świeży,

i rąk nawet nie otarłszy fartuchem
do matki pobiegła duchem. Tylko
powiewa za nią czadra*) białym
obłokiem, tylko grzmia chodulicz-
ki**), gdy biegnie chyżym krokiem.

Jej ręce w ciasto obrosłe matce
ratunek przyniosły!...

A ta wiewiórka znowu ogonem
furka:

— Hop! hop! hop! hop! hop! —
znowu czynię czary...

Wszyscy kochają Sulejkę, czy ma-
ły, czy stary...

I odtąd starzy, mali — wszyscy
Sulejkę kochali. Małe dzieci, stare
dziadki — wszyscy jej znosili kwiat-
ki. Wychowała Sulejka dużo, dużo
dzieci, dobra, promienna zawsze jak
słonko, co na niebie świeci. A kiedy
skończyła sto lat i miała już opuś-
cić świat — jej ostatnie tchnienie
oto — zmieniło się w pszczołę zło-
tą — i odtąd odwiedza kwiatki ta
córka dobra dla matki...

A choć od tego czasu minęło lat
tysiąc dwieście — ta złota pszczoła
(Sulejka) ma zawsze łapki w cieś-
cie!...

M. Kownacka

*) czadra — zasłona na głowę i twarz no-
szona przez tatarskie kobiety

**) choduliczki — sandałki



PRZYGODY DZIECI Z JASNEJ WODY

17)

(Ciąg dalszy)

SZALENIEC WE MŁYNIE

Kiedy chłopcy kończyli już obchód z kogutkiem, Ryś i Władek zauważyli, że biegnie ku nim wymachując rękami wuj Protazy, przyspieszyli więc kroku. Bednarz wołał z daleka:

— Rysiu, czy masz klucze od młyna?

Ale Ryś miał ze sobą tylko klucz od domu.

Antek Orczyk poszedł na święta do swojej rodziny, a oboje młynarzowie pojechali aż na trzecią wieś, zaproszeni w kumy do przyjaciół.

— Chyba wujek zabrał ze sobą klucz od młyna, jeszcze sprawdzę w domu!

— To niedobrze! — mruknął pod wąsem Protazy.

— A co się stało takiego? — dopytywali chłopcy!

— Tylko się nie poprzekajcie! Nic w tym strasznego pewno nie ma!

Chłopcy ciaśniej otoczyli bednarza.

— Co się stało? Niech wuj mówi! Nawet Heniek przestał pisać i bębnić na bębnieku.

— Ktoś jest we młynie i browaryje wyprawia!

— Jak to, w zamkniętym młynie?

— Tak jest!

Ciarki przeleciały przez grzbiety — spojrzeli chłopcy po sobie i jedno niewypowiedziane słowo zawisło w powietrzu: „Karczmarek“.

Chwila wahania: — pędzić do

młyna, czy uciekać, gdzie nogi poniosą?... Ryś spokojny, jak zawsze, opanował położenie:

— Podejdźmy, chłopcy, spokojnie! Nie straszyć, nie krzyczeć. Jeżeli będzie trzeba, to się wezwie ludzi na pomoc.

Podeszli do młyna, w zwartych szeregach, tak jak chodzili z kogutkiem, i oczy utkwili w otwartym oknie na piętrze wskazanym przez Prota. Chwila ciszy i nagle:

— Tup — cup! cup! cup! — za-tętniło coś po podłodze i postać okryta workiem zaczęła się miotać po składziku.

Chłopcy zamarli ze zgrozy. Ryś oddał worek z pieniędzmi Protazemu i zawołał:

— Ja lecę do straży pożarnej po drabinę! — i skoczył w kierunku remizy strażackiej.

A tymczasem pod młynem zbierało się coraz więcej gapiów. Szaleniec okręcony w worki chrapał, rzucał i wykonywał coraz szaleńsze skoki.

Kto śmielszy, próbował po drzewie dostać się do okna, ale inni odradzali:

— Lepiej poczekać na drabinę. Z wariatem nic nie wiadomo... Jak zamaluje w głowę...

Zbiegowisko rosło. Zatrzymał się przed młynem jakiś półkoszek wyładowany szczelnie odświętnie wystrojoną rodziną.

Krewki gospodarz z fioletową brodawką na nosie zakrzyknął:

— Hej, ludzie, a co się tu stało? Dowiedziawszy się o przyczynie



zbiegowiska rzucił lejce żonie, tkwiącej na siedzeniu ze snopów, w bombiastej spódnicy, i śpiesznie wygramolił się z woza.

— A postronki macie na związanie wariata? — objął zaraz komendę obcy gospodarz.

W tej samej chwili nadeszła żwa-wo ze swej górki babcia Matuska szukając kozła Tarapaty, który już kawał czasu czmychnął jej z zagrody, a zobaczywszy, co się święci we młynie, aż ręce załamała.

— Ludzie, a toć Karczmarkową trzeba wołać!

— Ja pobiegnę! — krzyknął Władek i puścił się pędem spełnić polecenie.

— Jak ratunek nie przyjdzie na porę, może się człowiek udusić, ja bym tam drzwi rąbał! — wołał gospodarz z brodawką na nosie.

Ale już jasnowodzka straż ognio-

wa, znana w całej okolicy ze sprawności, popisała się, jak zawsze — dzielnie. Od strony remizy bieгло sprężyscie czterech strażaków w błyszczących jak samowary hełmach, niosąc najdłuższą składaną drabinę, a za nimi nadjeżdżała na wszelki wypadek beczka z sikawką.

W jednej chwili drabina została przystawiona do okienka i Michał Beczek, najstarszy syn rybaka, chwyt nad chwaty, przytroczywszy sobie do pasa zwój linki i ścisnąwszy w garści strażacki toporek zaczął wstępować na drabinę, pobłyskując jak słońcem wspaniałym miedzianym hełmem.

Tłum przybliżył się o parę kroków i zamarł w oczekiwaniu.

— Łup-cup! Cup! cup! — zatu-potał znowu szaleniec.

Michał wstąpiwszy na najwyższy szczebel zajrzał do okienka i zawołał:



— Ma czarne kopyta i rogi wystają!

— Zły! — krzyknęła przeraźliwie jakaś babina i rzuciła się do ucieczki okręcając się szczelniej chustką, a za nią inne, co płochliwsze kobieciny.

Ale nieustraszony Michał przerzucił nogę przez parapet okienka i zniknął w składziku.

— A ty, huncwocie, toś ty tu wlaź?! — rozległ się jego pełen oburzenia głos.

— Beee! Beee! — beknęło coś głośno w składziku i nagle wyprysnął karkołomnym susem przez okno oszalały ze strachu kozioł, że ledwo zebrani ludzie zdolali uskoczyć przed jego kopytami, i dotknąwszy ziemi pomknął jak strzała na górkę Matuski.

— Mój Tarapata!... — jęknęła babka Matuska chwytając się za głowę.

Wielki śmiech gruchnął wśród zebranych i wszyscy dalej się tłoczyli do bohatera tego wydarzenia, nieustraszonego strażaka Michała Beczka, który, niczym pogromca baśniowego smoka, z wysokości drabiny wyjaśniał zebrany:

— Kozioł, huncwot, musiał się zakraść do składziku, zanim jeszcze młynarze wyjechali.

— Tak, tak... i dalej z worków otręby wyżerać!

— Worek sobie wsuł na głowę.

— Rogami o worek zahaczył i dalejże z workiem na łbie breweryje po składzie wyprawiać.

— To ci nam Tarapata prima aprilis wypłatał! — śmiał się Prot Rzepko kręcąc głową.

— A czyjże to kozioł? — zagad-

nął nagle obcy gospodarz.

— A toć mój! — przyznała ze skrucą Matuska.

— Kubek w kubek takutkiego kupilem na ostatnim jarmarku w Kogucinie!...

Matuska spojrzała na niego bystro i aż w ręce klasnęła.

— A toć prawdę mówicie, gospodarzu, poznaję was po... — i ugryzła się w język, bo jakże tu powiedzieć, że po brodawce na nosie, więc politycznie skrzyła: — po tym nowym kozuchu!

— Zmyślna sztuka, nie wiem, czy znowu do was drogi nie znajdzie? Muszę go dobrze w zagrodzie zamykać.

— Znalazł drogę w powodzi, czmychnie, choć się go zagrodzi! — roześmiał się Prot.

— Jak go będą zamykać, to nie ucieknie! — zawołała Matuska. — No, lecę po kozła..

— Hola! hola! gosposiu, a gdzie ja go na te odwiedziny będę brał, potrzyjcie go jeszcze trochę, przyjadę po niego po świętach i tak mi wtedy droga wypadnie do Kogucina. — To mówiąc właściciel Tarapaty wsiadł do półkoszka i pokłoniwszy się zebranym, cmoknął na konie i ruszył w swoją drogę.

W tej chwili zjawił się zgrzany od pędu Władek z wiadomością, że Karczmarek bez ducha leży pod pierzyną w domu... Nikogo to już teraz nie zdziwiło, ale ludzie zaczęli ubolewać nad losem jego żony i dzieci, że za starego Karczmarka gospodarstwo było jak się patrzy — jakie krowy, konie — wszystko poszło dla syna na wódkę i została nędza. (c. d. n.) M. Kownacka

O MĄDRYCH LISTACH



W wojewódzkim mieście Lublinie mieszkał sobie Wawrzyniec, a w miasteczku Wejherowo żył sobie Bronisław wesoło i zdrowo. Mieszkali od siebie daleko, ale pisali często i wiele, bo to byli dwaj dobrzy przyjaciele.

Raz Wawrzyniec napisał te słowa do Bronisława z Wejherowa: „Kochany Bronisławie, będę za tydzień w Warszawie, może i Ty się tam wybierzesz, to się pośmiejemy szczerze i przejedziesz się kawalek. Ja będę w Warszawie w poniedziałek, bo przecież wiesz, mój złoty, że wtedy są imieniny Twojej cioci Doroty“.

Niesie list listonosz Walenty, a tu — dom Bronisława zamknięty, a na drzwiach kartka:

„Jestem u cioci Doroty w Warszawie na ulicy Złotej, numer taki i taki.“

Więc listonosz zamasyzyście napisał na liście:

„Zwrot, Warszawa, Złota“... i skończona robota.

A Bronisław napisał też list, a jakże: „Kochany Wawrzyńciu, jadę do Warszawy, może będziesz tak łaskawy przyjechać tam w poniedziałek, bo się dawno z Tobą nie śmiałem. A pamiętaj: w poniedziałek, mój jedyny, bo wtedy są mojej cioci imieniny“.

Niesie list listonosz Maurycy. Patrzy, a tu na drzwiach kartka: „Jestem w stolicy, ulica Złota, numer taki i taki“...

Więc listonosz zamasyzyście napisał na liście:

„Zwrot, Warszawa, Złota“... i skończona robota.

Jeszcze śpi ciocia Dorota, a tu: puk... puk...

— Kto tam? Ach, mój Bronisławie, jak się cieszę, że się pokazałeś w Warszawie!

Puk... puk...

— Któż tam?... A, to pan Wawrzyniec z Lublina! Dobrze mi się dzień rozpoczyna — mówi ciocia Dorota.

Puk... puk...

— Kto tam?... A, to pan listonosz! Proszę!...

— Dwa listy przynoszę.

— Mój Wawrzyńciu złocisty, toż to nasze listy! — krzyczy Bronisław.

— A skądże, mój miły, one tu trafiły? — woła pan Wawrzyniec.

A na to listonosz:

— U nas na poczcie nic nie zginię.

Każdy list dotąd po świecie wędruje,



aż dotrze tam, gdzie go się
adresuje.

A jak dotarł,
to już skończona jego robota.

— A jak popłynę okrętem do
Ameryki? — pyta Bronisław.

— To i list popłynie za panem
do Ameryki.

— A jak ja popłynę do miasta
Fikimiki? — pyta Wawrzyniec.

— To list za panem nie popły-

nie, bo na ziemi nie ma takiego
miasta — i basta.

Wtedy list wraca do nadawcy i
po kłopotach,
i skończona listonosza robota.

— Hi... hi... hi... Wawrzyńciu mój
złocisty, jakie to mądre te nasze
listy.

— Che... che... che... Bronisiu,
ale wiesz co, za wolno po świecie
jeżdżą.

A na to listonosz:

— Jak się komu spieszy, to niech
używa depeszy. A listy to są dlatego
takie mądre, że je listonosz roznosi
i wie, który dla Hani, który dla Zo-
si, który dla pana Lucjana, dla Gra-
żynki, Halinki... I jeszcze, moja
pani droga, paczki, pieniądze i ga-
zety chodzą na listonosza nogach.
Moje nogi znają w tym mieście każ-
dą ulicę, każde schody, każdy próg.
Muszę już iść, bo tu jeszcze roboty
huk.

Witold Michalski

„KUBA CZY GRZEŚ“

— to tytuł ciekawej książeczki Czesława Janczarskiego.

Książka ta jest pierwszym tomi-
kiem biblioteczki „Płomyczka“.

Każde dziecko prenumerujące
„Płomyczek“ otrzyma w czerwcu tę
książkę, jeśli przed 5. VI. nadeśle
80 zł na adres Administracji „Pło-
myczka“ — Poznań, Matejki 66
(zaznaczając, że pieniądze te są
przeznaczone na książkę).

Jeżeli prenumerujecie „Płomy-

czek“ zbiorowo, w szkole — za-
mawiajcie również książkę zbiorowo.

Przy zamawianiu za zaliczeniem
pocztowym cena książki wyniesie
110 zł.

W sprzedaży księgarskiej cena bę-
dzie znacznie wyższa (160 zł).

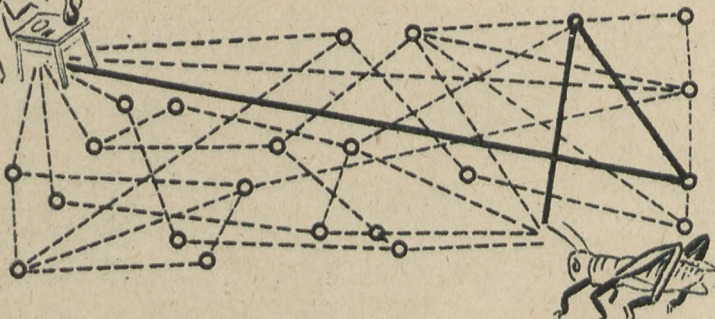
Śpieszcie się z zamawianiem, bo
warto mieć tę miłą i wartościową
książkę w swej bibliotece.

Pomyśl chwilkę

ŁAMIGŁÓWKA

Słowo składa się z czterech liter oznaczonych cyframi 1, 2, 3, 4. Odgadniesz je łatwo, odnajdując pomocnicze słowa wg podanych znaczeń:

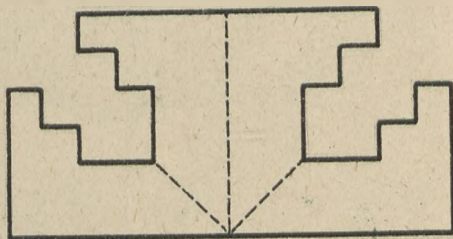
1. Zewnętrzna warstwa drzewa: 3, 1, 2, 4.
2. Okres czasu: 2, 1, 3.
3. Skorupiak: 2, 4, 3.



ZAGADKA

Stoi gdzieś przy płocie
w zniszczonej kapocie.
Boją się go ptaki.
Wiecie kto to taki?

J. K.



„Piomyczek“ ukazywać się będzie również podczas wakacji.
WARUNKI PRENUMERATY

Cena pojedynczego egzemplarza	zł 15,—
w prenumeracie miesięcznej (2 numery)	zł 27,—
za okres od 1. IV. 49 do 30. VI. 49.	zł 75,—
rocznie	zł 250,—

Szkoły przy prenumeracie zbiorowej otrzymują na każde zaprenumerowane 10 egzemplarzy jeden egzemplarz bezpłatnie.
Prenumeratorzy korzystają ze specjalnych ulg przy zakupie wydawnictw Inst. Wyd. „Nasza Księgarnia“. Należność za prenumeratę wpłacać można na konto w P K O nr. V-522

ADRES ADMINISTRACJI: POZNAŃ, UL. MATEJKI 66.

ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 4.

Redaktor: STANISŁAW ALEKSANDRZAK. Kierownik artystyczny: BOHDAN BOCIANOWSKI
Wydawca: Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia“.
Nadesłanych rękopisów redakcja nie zwraca.



Fot. Film Polski

Praca spawacza wymaga dużej wprawy i znośności